Acta Medicorum Polonorum – R. 16/2026 • Zeszyt 1

doi.org/10.20883/amp.2026/3

Wspomnienie o pacjentce prof. Wiktora Degi

A recollection of a patient of Prof. Wiktor Dega

Paweł Laskowicz

Poznań

Streszczenie. Wspomnienie o Marii Dzięgielewskiej (1936-2002), pacjentce prof. Wiktora Degi (1896-1995) dostarcza wiedzy o jej heroicznej postawie wobec ciężkiej i bolesnej choroby oraz o relacji Profesora do pacjentów. Podstawą wspomnień jest autobiograficzna książka Marii Dzięgielewskiej.

Abstract. A recollection of Maria Dzięgielewska (1936-2002) – a patient of Professor Wiktor Dega (1896-1995) – sheds light on her heroic attitude toward a severe and painful illness, as well as the Professor's relationship with his patients. These recollections are based on Maria Dzięgielewska's autobiographical book.

Słowa kluczowe: Maria Dzięgielewska, Wiktor Dega, wielostawowy gościec postępujący

Keywords: Maria Dzięgielewska, Wiktor Dega, progressive polyarthritis

Choroba

W dniu 1 grudnia 1948 r. o świcie, jeszcze przed pobudką, Marysia obudziła się w szkolnym internacie w Olsztynie sparaliżowana bólem, nie potrafiąc wyciągnąć rąk spod kołdry. Kiedy zaalarmowane koleżanki uniosły okrycie, zobaczyła, że miejsca jej stawów są opuchnięte jak baloniki, gorące i zaczerwienione. Zaatakowane zostały stawy nie tylko rąk. Nawet szczęki bolały tak, że Marysia nie mogła ugryźć jabłka. Lekarz szkolny zwolnił ją do domu. Koleżanki ją ubrały i uczesały. Jedna ze starszych zawiozła ją taksówką na dworzec, ale widząc, że Marysia nie jest w stanie podejść do kasy, kupiła bilety, a potem towarzyszyła jej w podróży do domu w Starych Jabłonkach. Po wyjściu na peron czekało je przejście do domu.

> Droga była oblodzona. Zawisłam na niej i wlokła mnie, gdy ścieżka stawała się prosta, nie wyboista; niosła, gdy grudy zbitego śniegu i ziemi stwarzały nierówność, uniemożliwiającą postawienie nogi, a metrów do naszego domu od stacji było niewiele, około stu pięćdziesięciu, dwustu. Dotarłyśmy wreszcie do domu. Oddała mnie w ręce

przerażonej matki. Z biura przybiegł ojciec. Te godziny także w ich życiu przestawiły wszystko na inne tory.[1]

Etiologia gośćca nie jest jasna i nigdy nie ustalono, dlaczego Maria na tę chorobę zapadła i jaka byłaby szansa uchronienia się przed nią. Ona sama obwiniała wojnę, w czasie której rodzice, wyrzuceni z niewielkiego majątku, mieszkali na wsi, a niemieccy treuhanderzy kwaterowali rodzinę w zawilgoconych przybudówkach. Do rozwoju choroby mogły się przyczynić predyspozycje organizmu, a jednocześnie wilgotny klimat Mazur, gdzie ojciec, Stanisław Dzięgielewski, z wykształcenia leśnik, obejmował po wojnie nadleśnictwa. Prawdopodobnie pierwszy raz choroba dała znać o sobie w lipcu 1948 r. w Łańsku, kiedy Marysia obudziła się z ostrym bólem stawu biodrowego. Przebywający w leśniczówce na wypoczynku dwaj lekarze uznali, że to bóle wzrostowe i zaniechali badań. Trzy miesiące później – gdy piękny Łańsk przejęła bierutowska władza – ojciec został skierowany na stanowisko nadleśniczego w Starych Jabłonkach i w październiku Marysia zaczęła uczęszczać do szkoły z internatem w Olsztynie. Właśnie wtedy choroba wróciła z całą siłą i nigdy już Marysi nie opuściła. Miała 12 lat.



Marysia z matką – Bachotek (czerwiec 1939 r.)



Maria Dzięgielewska – Stare Jabłonki (lipiec 1949 r.)
Fot. J. Goetz



Łańsk (10 sierpnia 1948 r.)

[1] Wszystkie cytaty pochodzą z książki Marii Dzięgielewskiej pt. *Losowi na przekór*, Warszawa 1972.

Stan zapalny z Olsztyna nie ustępował. Przez cały grudzień Maria leżała obolała w domu w Starych Jabłonkach, a rodzice radzili się lekarzy. Ci podejrzewali gościec i sugerowali podjęcie starań o wizytę w klinice ortopedycznej w Poznaniu, którą rozwijał z rozmachem prof. Wiktor Dega. W Poznaniu mieszkała ciocia Marysi (siostra matki), a żona profesora była ich daleką krewną (m.in. mieli ze sobą styczność w okupowanej Warszawie), co wszystkich zmobilizowało. Po przesłaniu orzeczeń lekarskich i wymianie listów z profesorem zapadła decyzja: klinika.

Rodzice przywieźli Marysię do poznańskiej kliniki 17 stycznia 1949 r. Przyjął ją lekarz dyżurny. Niebawem pojawiła się dr Maria Dežyna. Marysia trafiła na oddział dziecięcy, gdzie następnego dnia badał ją ordynator Alfons Senger. Godzinę po swoim badaniu Senger pojawił się w towarzystwie prof. Wiktora Degi, który uważnie oglądał każdy staw i szczegółowo badał zakres ruchu. Stawy były obolałe i gorące. Profesor potwierdził najgorsze: postępujący gościec wielostawowy.

Chociaż mała Marysia nie wyobrażała sobie, by za parę tygodni nie miała wyzdrowieć z tych niespodziewanych boleści jak z przeziębienia, to w tamtym styczniu zaczęła się źle rokująca walka o to, by mogła w ogóle chodzić. Dla lekarzy było jasne, że nawet przy zastosowaniu wszystkiego, czym dysponowała medycyna, zmiany w stawach będą wyniszczające. Choroba wyrwała ją z normalnego świata, przygarnęła, otuliła i zabrała dla siebie – już na zawsze.

Najbliższe lata były do siebie podobne: ostry stan zapalny stawów, przez kilka miesięcy szpital, leżenie „plackiem" w gipsie, kroplówki, ampułki, zastrzyki, maści, bandaże, a po ustąpieniu stanu zapalnego wózek inwalidzki i walka z przykurczami, zniekształceniami, zanikami mięśni, zabiegi, ćwiczenia, czasem operacje, a potem nawrót stanu zapalnego i znowu szpital, i znowu zwątpienia, i znowu strach. Choroba była nieubłagana. Zatrzymywała Marysię częściej w klinice niż w domu. To w szpitalu toczyła się jej domowa codzienność: szkoła i rówieśnicy, przyjaźnie i swary, smutki i wesołości, leczenie i rehabilitacyjny dryl. Choroba zmusiła rodzinę do przeprowadzki, ojca do porzucenia służby w nadleśnictwie, matkę do skupienia się na życiu starszej córki.

Pobyty w szpitalu ciągnęły się jak wstęga niemająca końca. Pierwszy trwał od 17 stycznia do połowy lipca 1949 r., kiedy nastąpił pełen nadziei powrót do Starych Jabłonek. Minęły jednak trzy ciepłe miesiące i konieczny okazał się ponowny wyjazd do Poznania: od początku listopada do 5 grudnia 1949 r., kiedy Marysia przyjechała do domu właściwie na okres świąteczny, bo w zimowym mikroklimacie Mazur przychodzi zaostrzenie choroby i już 20 stycznia 1950 r. po raz trzeci jedzie do poznańskiej kliniki. Tym razem lekarze po pierwszych badaniach nie mają wątpliwości. Informują rodziców o nieodwracalności choroby, o nieuniknionej ciężkiej niepełnosprawności, ale także o możliwościach robienia wszystkiego, by niepełnosprawność ograniczyć do minimum. Czekają ich długie lata leczenia córki. Zapada decyzja o przeprowadzce. Ojciec jest w Poznaniu od maja, przystosowuje parterowe mieszkanie w kamienicy przy ul. Matejki i podejmuje w mieście pracę biurową. Matka z dwojgiem pozostałych dzieci oraz schorowaną babką przyjeżdża w lipcu. Marysia pozostaje w klinice do końca sierpnia i kiedy wychodzi ze szpitala, jej domem

jest mieszkanie w Poznaniu, nie mazurska leśniczówka. Drugim domem pozostaje klinika.

Kolejna, czwarta hospitalizacja trwa od lutego do końca czerwca 1951 r., a po niej nastąpił najdłuższy jak dotąd pobyt w domu, blisko roczny, okupiony bólem, kosztownym samozaparciem, wizytami w klinice. Nieraz długimi dniami Marysia leżała w zasadzie nieruchoma, z przykurczami kolan, których nie mogła wyprostować. W lipcu 1952 r. choroba triumfuje. Marysia trafia znów do kliniki i zostaje zoperowana przez profesora Wiktora Degę. Po tej operacji leży w szpitalu przez osiem miesięcy, do marca następnego roku.



W marcu 1955 r. w Klinice Ortopedycznej Akademii Medycznej w Poznaniu. Od prawej: pani Zosia, pan Włodek, siostra Halinka, Maria Dzięgielewska, Stefa Podgórska (siedzi)

Fot. ze zbiorów autora



W marcu 1955 r. w Klinice Ortopedycznej Akademii Medycznej w Poznaniu. Siostra Halinka z Marią Dzięgielewską

Fot. ze zbiorów autora

W roku szkolnym 1953/1954 przebywa w szpitalu łącznie kilka miesięcy, a w latach 1955-1957 w szpitalu spędza zimy. Zazwyczaj była najdłużej leżącym na oddziale małym pacjentem. Podczas jednego pobytu łóżka w jej sali parę razy zmieniały swoich właścicieli. Zawierała przyjaźnie, które przetrwały na długie lata.

W końcu lat pięćdziesiątych choroba zdawała się przechodzić w stan remisji, stany zapalne przestały atakować tak intensywnie. Pozostawiła po sobie trwałe kalectwo, a w efekcie wózek inwalidzki, ortopedyczne buty, kule, twardszy materac, podwyższone łóżko, chwytaki, dodatkowe poręcze, dodatkowe poduszki, podkładki na stole do wstawania, walkę ze schodami, progami, klamkami i uzdrowiska, Połczyn, Cieplice, Ciechocinek, Krynica... Ale batalia o chodzenie została wygrana. Maria chodziła powoli, ostrożnie, na usztywnionych nogach, wyłącznie po domu, bo wyjścia na zewnątrz zawsze będą wymagały asysty, ale samodzielnie. Do Wielkanocy w 1981 r., kiedy przewraca się idąc do kuchni, a nie mogąc się podeprzeć, łamie



Maria Dzięgielewska w Cieplicach-Zdrój w marcu 1958 r.
Fot. ze zbiorów autora



Maria Dzięgielewska w Cieplicach-Zdrój w 1959 r.
Fot. ze zbiorów autora

łokcie, nos, naruszając wiele stawów. Znowu długie tygodnie w klinice, tym razem w tzw. „domku szwedzkim". Znowu piecza profesora Degi.

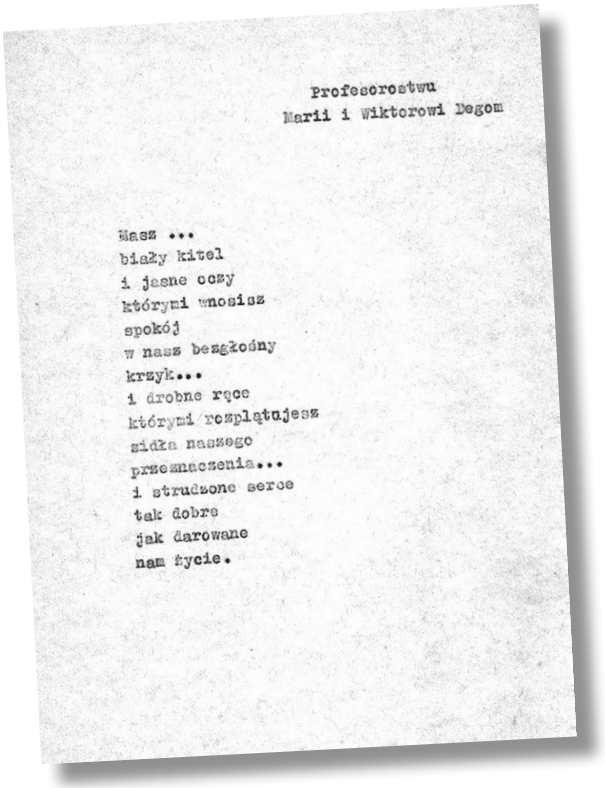
Ale wtedy, pod koniec lat pięćdziesiątych, pełna wiary i siły Marysia stanęła u progu dorosłego życia. Na początku lata 1957 r. zdaje maturę, a od października zaczyna studia na polonistyce w Poznaniu, broniąc pracy magisterskiej w 1962 r. Rozpoczyna pracę w dziale literackim Polskiego Radia w Poznaniu. Myśli o napisaniu książki.

Choroba postanowiła dać jej szansę, a ona wykorzystała to z nawiązką.



Maria Dzięgielewska z redaktor Janiną Karasińską-Frydryszek w marcu 1987 r. w siedzibie Polskiego Radia przy ul. Berwińskiego
Fot. Ze zbiorów autora

Lekarz



Profesorostwu
Marii i Wiktorowi Degom

Masz ...
biały kitel
i jasne oczy
którymi wnosisz
spokój
w nasz bezgłośny
krzyk...
i drobne ręce
którymi rozplątujesz
sidła naszego
przeznaczenia...
i strudzone serce
tak dobre
jak darowane
nam życie.

Profesorostwu
Marii i Wiktorowi Degom

Masz...
biały kitel
i jasne oczy
którymi wnosisz
spokój
w nasz bezgłośny
krzyk...
i drobne ręce
którymi rozplątujesz
sidła naszego
przeznaczenia...
i strudzone serce
tak dobre
jak darowane
nam życie.

Maria Dzięgielewska

Kiedy w styczniu 1949 r., podczas tamtej pierwszej wizyty w poznańskiej klinice, profesor Wiktor Dega skończył długie badanie małej pacjentki, utwierdzony w przekonaniu, że to postępujący gościec wielostawowy, ukradkiem podniósł ciężki wzrok na doktora Sengera, a potem spojrzał na Marysię spod brwi, uśmiechnął się pogodnie i zapytał, które szkolne przedmioty lubi najbardziej. Wywiązała się krótka, ciepła rozmowa, która zaczęła tkać nić pacjenckiej nadziei i lekarskiej troski, trwającej aż do śmierci profesora.

Był jak stale obecny dobry duch. Choć Marysia miała stałych opiekunów z kliniki, to przy każdym zaostrzeniu choroby profesor był do dyspozycji, aby zbadać stawy i podjąć dalsze decyzje. Marysia miała świadomość, że gdy stawy zaczną znów boleć i nie będzie mogła chodzić, profesor wesprze, wyśle do jej domu lekarza albo leki, niekiedy najlepsze, które przywoził z podróży służbowych. Wspierał też w sposób najzwyczajniej przyziemny, wydając zaświadczenia niezbędne na studiach, w sanatoriach, czy przy staraniach o zakup pojazdu dla inwalidy (nieraz w kuriozalnych sytuacjach peerelowskich czasów, kiedy niepełnosprawni mogli się czuć naprawdę wykluczeni). Niezmiennie pamiętał o pocztówce z pozdrowieniami ze swoich wyjazdów, w której zawsze składał wyrazy szacunku rodzicom. W pokoju Marysi wi-

siała oprawiona fotografia portretowa profesora z dedykacją. Zdawało się, że czuwa nieprzerwanie, gotowy nieść pomoc i ratunek.

Profesor ratował Marię wiele razy. Zwykle interweniując bezpośrednio, jak 12 lipca 1952 r. na stole operacyjnym, kiedy ważył się ostateczny los stawów nogi. Marysia bała się zabiegu i chciała mieć pewność, że będzie operował profesor, w takich chwilach ufała tylko jemu. Tuż przed operacją poprosiła anestezjologa, aby przyprowadził profesora do stołu operacyjnego. *Przyszedł w czepku i podkoszulku, ręce miał całe powyżej łokci w pianie, więc ON!* [...] *„Niczego się nie bój, Marysiu", powiedział z szerokim uśmiechem*. [...] Potem podeszła doktor Dežyna, ujęła ją za rękę i szepnęła: *„Śpij, kocie*". Gdy Marysia wybudziła się z narkozy, leżała na wyciągu na sali, a wokół krzątał się prof. Hieronim Strzyżewski, człowiek, który nigdy nie wątpił w jej powrót do sił. Po latach, w rozmowie z profesorem Degą, wspominała tamten dzień i powiedziała, że teraz na pewno stosuje się nowocześniejszą narkozę, a profesor zażartował ze śmiechem: *A owszem, chcesz spróbować? Zapraszamy!*

Zdarzyło się także, że profesor ratował Marysię nie chcąc jej operować i skazywać na wielotygodniową rekonwalescencję wykluczającą z życia. Latem 1968 r., podczas rutynowej wizyty w klinice, lekarz dyżurny chciał zatrzymać ją na operację. Maria buntowała się, choć nie miała argumentów. Powtarzała w kółko „Nie, nie, nie". Przypadkiem pojawiła się dr Dežyna. Zobaczyła, że rentgen nie kłamie, a sytuacja jest poważna. *To musi zobaczyć profesor*, zawyrokowała. Znów oczekiwanie i strach. Profesor Dega przyszedł prosto z sali operacyjnej, obejrzał zdjęcia, zbadał stawy. Długo się zastanawiał. W końcu zadecydował o leczeniu zachowawczym: nowa wkładka do butów i ćwiczenia. *Staw ten może będzie trzeba kiedyś operować, ale to później* – oznajmił i dodał: *Kto wie, czy nie uda się tego w ogóle uniknąć...* Wygrali. Operacja nie była potrzebna.



Maria Dzięgielewska
Fot. Atanazy Zalewski

Ale profesor Wiktor Dega uratował Marysię w sensie wiele szerszym niż tylko fizycznym. Uratował jej dorosłe życie i marzenia. Tworząc klinikę ortopedyczną w Poznaniu pamiętał o rzeczy podstawowej dla małych pacjentów: edukacji. To dzięki jego staraniom w klinice powstała pierwsza w Polsce szkoła dla dzieci przewlekle chorych. O umysł pacjenta dbał tak samo jak o jego kości, uważając, że szkoła jest niezastąpionym elementem procesu rehabilitacji, bo kiedy dzieci powrócą do społeczeństwa, będą musiały mieć zawód i przyszłość. Dzięki systemowi nauczania w klinice Marysia mogła ukończyć szkołę podstawową, by myśleć o maturze i studiach.

Profesor osobiście interesował się wynikami swoich podopiecznych. Kiedy pewnego majowego dnia 1950 r. po pokojach Oddziału Dziecięcego poniosła się wieść, że profesor dopytuje, jakie kto ma stopnie, wszyscy zadrżeli ze strachu – co to będzie, gdy dowie się o „dwójach" – ale przede wszystkim zaczęli się pilniej uczyć. Tamto zakończenie roku szkolnego Marysia zapamiętała na całe życie. Odbyło się z pompą i wśród radosnych występów i piosenek, jak w najzwyklejszej szkole.

Profesor doglądał nie tylko stopni małych pacjentów. Miał oko na wszystko w klinice. Lubił niespodziewanie odwiedzać oddziały w swych legendarnych tenisówkach, „cichochodach", zaglądając do sal, a nawet łazienek i toalet. Każde pomieszczenie ma służyć chorym przez cały czas, więc powinno być przygotowane bez zarzutu.

Kilka miesięcy przed jej osiemnastymi urodzinami profesor zaskoczył Marysię na paleniu. Widząc zbliżającego się profesora usiłowała ugasić papierosa, w pośpiechu parząc sobie nieporadne palce i zostawiając w popielniczce tlący niedopałek. Najwyraźniej ubawiła go ta scenka, ponieważ powiedział wyrozumiale: *Marysiu, nie tak nerwowo*, a potem poczęstował ją swoim papierosem i zapalił zapałkę.



Maria Dzięgielewska
Fot. Ze zbiorów autora



Prof. Wiktor Dega i Maria Dzięgielewska w Sali Renesansowej Ratusza Poznańskiego, 13 luty 1971 r.
Fot. ze zbiorów autora

Bywało, że profesor naprawdę materializował się jako dobry duch. Kiedy zimą 1969 r. nastąpiło zaostrzenie choroby i pojawiła się konieczność przyjęcia trudnych, dostawowych zastrzyków, Marysia długo zastanawiała się, kogo z kliniki o to poprosić. Kto ją pamięta? Kto wesprze? W końcu zbiera się na odwagę i dzwoni na oddział. Jednego lekarza nie ma, drugiego nie ma. Mija dzień, dwa, trzy. Marysia zapada się w tej bezradności. Nagle dzwoni telefon. To profesor Dega. *Dzień dobry Marysiu, co słychać*? Wysłuchuje i gani, że nie zadzwoniła wprost do niego. Ma dzwonić do niego! Ponieważ wyjeżdża, wyśle kolegę, który zrobi zastrzyki. Kilka miesięcy później, w wiosenne słoty to samo: stan zapalny i ból. I znowu telefon do profesora. Czy przyjmie? Przyjaciółka zawiezie ją do kliniki taksówką. *Nie*, mówi profesor, *ja przyjadę, do zobaczenia*. Przyjechał, zrobił zastrzyk, zbadał i pocieszył.

Innym razem matka Marysi poważnie zaniemogła. Musiała leżeć z powodu zagrożenia zakrzepicą. Lęk o matkę mieszał się z koniecznością wykonywania za nią domowych prac. Wieść się rozniosła, przyjaciele pomagali, jak mogli. Kiedy któregoś wieczoru Marysia kładła się spać, nagle telefon. Profesor Dega z informacją, że będzie za kwadrans, by zobaczyć mamę. Było po 22.00. Przyjechał, uspokoił.

Taki on jest, właśnie taki. Tacy są ONI..., mówiła Marysia o tamtych lekarzach.

Fragmenty korespondencji prof. Wiktora Degi do Marii Dzięgielewskiej

23 X 1955 r. z Kliniki w Poznaniu

Kochana Marysiu,

Serdecznie dziękuję za pamięć i życzenia. Jestem zawsze pełen podziwu dla Twej dzielności. Cieszyłbym się bardzo, gdyby wyjazd Twój na Krym doszedł do skutku. [...]

23 X 1956 r. z Kliniki w Poznaniu

Kochana Marysiu,

Wróciwszy z zagranicy zastałem Twój miły list z życzeniami. Dziękuję za pamięć i miłe słowa skierowane do mnie. [...]

7 VII 1961 r. z Kliniki w Poznaniu

Kochana Marysiu,

Z wzruszeniem przyjąłem Twoje życzenia i kwiaty. Sprawiłaś mi dużą radość. [...] Ilekroć choroba dotknie jakiegoś lekarza, nabieram przekonania, że mimo wszystko na świecie działa, choć czasem bardzo ułamkowo, jakaś sprawiedliwość. Obecnie czuję się już lepiej.[...]

10 X 1969 r.
z XI Międzynarodowego Kongresu
Ortopedycznego w Meksyku:

Kochana Marysiu,

W dowód, że myślę o Tobie przesyłam Ci serdeczne pozdrowienia. [...] Przekaż, proszę, wyrazy uszanowania Drogim Rodzicom Twoim. Wiktor Dega

15 II 1970 r. z Kliniki w Poznaniu

Kochana Marysiu,

Jeśli masz urodziny, przyjmij proszę moje najlepsze życzenia. Jeśli nie masz, uważaj te kwiaty jako wyraz mej szczerej życzliwości i podziwu. [...]

19 IV 1970 r. z Krynicy

Kochana Marysiu,

Myślami często jestem u Ciebie. Zrób w międzyczasie zdjęcia rentgenowskie bioder i stóp, jeśli Ci czas i siły pozwolą. Uciekłem do Krynicy, tu jest spokojnie. [...]

1 VIII 1972 r. z Kliniki w Poznaniu

Kochana Marysiu,

Dziękuję Ci bardzo za kartkę z Ciechocinka. Cieszymy się z żoną, że nareszcie będziesz mogła z kochaną Twą mamą odpocząć. Załączam Ci na wszelki wypadek zaświadczenie zaadresowane bezimiennie do Lekarza Naczelnego [uzdrowiska] [...], może to ułatwi Ci starania o uzyskanie drugiego turnusu.[...]

27 VII 1973 r. z Kliniki w Poznaniu

Kochana Marysiu,

Ogromnie ucieszyła mnie Twoja kartka z wiadomością, że wszystkie możliwości badania są w Ciechocinku. [...] Wstydzę się zarazem za służbę zdrowia, która w tak przedziwny sposób rozkręciła się, że co chwilę gubi samego chorego. Trzeba mieć dużo zdrowia, aby z jej dobrodziejstw (w dodatku delikatesowych) korzystać. Ale i w tej sytuacji pokazałaś lwi pazur Twego hartu! [...]

5 IX 1973 r. z Warny

Kochana Marysiu,

Z Bułgarii przesyłamy Tobie i Twym Kochanym Rodzicom dużo serdecznych wyrazów i pozdrowienia [...]

25 XII 1973 r. z Cieplic

Kochana Marysiu,

Serdecznie Ci dziękuję za gratulacje z powodu dra h.c. Obecnie spoczywam na „laurach" honoris causa i regeneruję swój wyczerpany akumulator życiowy.[...]

22 VIII 1974 r. z Drużby w Złotych Piaskach w Bułgarii

Kochana Marysiu,

Przesyłamy Tobie i całej Twej Kochanej Rodzinie serdeczne pozdrowienia ze słonecznej Bułgarii. Łączymy dużo serdecznych wyrazów [...]

23 III 1975 r. z Krynicy

Kochana Marysiu,

[...] Dowiedziałem się, że miałaś piękną audycję o rehabilitacji. Żałuję, że nie mogłem jej posłuchać, ale mam od żony szczegółowe sprawozdanie. [...]

8 XII 1975 r. z Kliniki w Poznaniu

Kochana Marysiu,

W dniu Twoich imienin składamy Ci nasze najlepsze i najserdeczniejsze życzenia. Obyć nam była nadal wzorem, jak należy walczyć z życiem i sobą, i oby Ci w tym pomagało samo zdrowie. [...]

25 VIII 1976 r. z Eforie Nord w Rumunii

Kochana Marysiu,

[...] wykazujesz stale zwiększającą się dzielność, a trabant jest szczytem (dotychczasowym) zdobytym z własnej inicjatywy i własnym wysiłkiem, wbrew wszelkim obiekcjom. O biodra nie lękaj się, w nich jest jeszcze duży biologiczny zapas. Wymagają nieco specjalnego podejścia, który po moim powrocie omówimy. [...]

12 XII 1986 r. z Kliniki w Poznaniu

Kochana Marysiu,

Chciałem Ci wyjaśnić unikalność załączonego przekazu. Jeden z dawnych pacjentów przesłał mi wraz z życzeniami jubileuszowymi 10 tys. złotych z prośbą, abym sobie zakupił, jako uzupełnienie życzeń, duży kosz kwiatów albo zużył na coś, co sprawi mi przyjemność. Wybrałem to ostatnie i zwracam się do Ciebie, Kochana, z błaganiem, abyś mi tej przyjemności nie próbowała zepsuć jakimiś obiekcjami.[...]

Pacjent

Jak to się zaczęło, jak to się stało [...] *Być zdrowym i bez wypadku, i nagle w kilka godzin*... – to zdumienie zdawało się trwać w niej przez całe życie. Maria miała charakter, jakich często brakuje ludziom zdrowym. Była człowiekiem o silnej osobowości, nieustępliwym, ambitnym, a jednocześnie wrażliwym. Kochała poezję i teatr, zwierzęta i przyrodę. Miała poczucie humoru. Chęć życia. Miała nawet optymizm, pogodę ducha. Jej wewnętrzny żar rozbijał się o skorupę kalectwa.

Kiedy po długich pobytach w klinice ostre stany zapalne zaczęły ustępować, Marysia nareszcie mogła na dobre „zadomowić się w domu", przy rodzicach, wśród

rodziny i szerokiego grona przyjaciół. Blisko pięć lat, odkąd władna była w ogóle wstać z łóżka, spędziła na wózku inwalidzkim, „Kubusiu", by pod koniec lat pięćdziesiątych wreszcie zacząć chodzić. Radość była ogromna. Nawet sąsiadka, którzy widziała Marysię jedynie na wózku lub karetce transportowej, odwiedziła ją z kwiatami i gratulacjami.



Maria Dzięgielewska z „Velorexem"
Fot. ze zbiorów autora

Żyła w miarę samodzielnie, oczywiście w domu z rodzicami, ale zdobyła zawód, o jakim marzyła, zarabiała i stanowiła o sobie. Po studiach uparła się, by kupić Velorex, pojazd dla niepełnosprawnych „z przydziału". Wywalczyła go, nawet jeździła nim sama, choć ktoś zawsze musiał uruchomić pojazd, gdyż silnik zapalało się nogą jak motocykl. Gdy przerzedziło się grono znajomych, którzy rozpoczęli własne dorosłe życie, wyjazdy stały się rzadsze. Pożegnała się z Velorexem. Ale w latach siedemdziesiątych, gdy już długo pracowała, zaczęła się starać o Trabanta dla inwalidów, typu Hycomat, który mogła obsłużyć samodzielnie. Jeździła nim aż do lat osiemdziesiątych, zwykle z kimś, najczęściej z matką. Samochód sprawiał radość i dawał namiastkę wolności. W tamtym dobrym dla niej okresie napisała książkę *Losowi na przekór*.

Było wiadomo, że z biegiem lat przewlekła choroba będzie stopniowo ograniczać ruchy. W Wielkanoc 1981 r. Marysia się przewróciła w domu i ręce już nie wróciły do poprzedniej sprawności. Musiała zrezygnować z jazdy trabantem. Z biegiem lat była coraz słabsza. Po domu chodziła do końca, ale o kulach, a potem tylko z asystą. Aby wyjść, musiała mieć już nie tylko pomocną dłoń, a przede wszystkim silne ręce, które ją zniosą po schodach i usadzą w samochodzie. Była coraz słabsza, gościec atakował mięśnie, również serce.

Maria przepracowała czterdzieści lat jako reżyser słuchowisk radiowych w dziale literackim Polskiego Radia w Poznaniu, gdzie nagrywała audycje m.in. z Romanem Brandstaetterem, Heleną Gordziej, księdzem Janem Twardowskim i, jakżeby inaczej, profesorem Degą. Rozgłośnia znajdowała się przy ulicy Berwińskiego, zatem blisko

domu, ale zawsze ktoś ją zawoził, wnosił po schodach, potem znosił i odwoził do domu. Zawsze była gotowa wybrać się do teatru, zwłaszcza Teatru Nowego, którego niektórzy aktorzy (Marian Pogasz, Sława Kwaśniewska, Kaja Nogajówna, Andrzej Lajborek) współpracowali z nią w radiu i tworzyli żywe grono jej przyjaciół.

Maria dziesiątki razy stawała przed pytaniem: Czy podołam? Częściej stawianym przez innych: Czy *ona* podoła? Zawsze próbowała. Szła przed siebie dopóty, dopóki udawało się pokonywać ograniczenia fizyczne. Czy to przy nauce do matury, czy w czasie polonistycznych studiów spędzonych na „Kubusiu", czy przy zdobywaniu prawa jazdy, czy w pracy, czy w życiu towarzyskim, wyjściach na przyjęcia lub do teatru.

W 1965 r. znów pojawiła się w klinice profesora Degi, ale tym razem jako gość, zaproszona na spotkanie z małymi pacjentami, by przekonywać, że nie wolno się poddawać. Po wydaniu książki otrzymywała wiele listów, a wśród nich jeden od czternastoletniej pacjentki kliniki profesora Degi, która pisała, że nauczycielka w szpitalu nieraz stawia Marię za wzór do naśladowania. „Ja tak jak Pani skończę szkołę, zdam maturę i pójdę na studia", pisała, dziękując za dodanie wiary w siebie.

Arkady Fiedler, który podczas letniej wizyty w Łańsku w 1947 r. podarował zdrowej jak rydz Marysi książkę *Zwierzęta z lasu dziewiczego* z dedykacją: „Marysi, małej leśniczce [...], by wyrosła na dzielną niewiastę", tak pisał w liście dwadzieścia trzy lata później:

> ...zastanawia się Pani czy wyrosła na »dzielną niewiastę« jak ongiś tego Pani życzyłem w dedykacji? Otóż wyrosła Pani, to niewątpliwe! Rozmawiałem o Pani właśnie z redaktorem Fornalczykiem i on z wyraźnym podziwem wyrażał się o Pani pracy w Radiu i harcie, jaki Pani przy tym przejawia. [...] Życzę wszystkiego najlepszego i dojścia do zdrowia, o czym nie wątpię, gdyż, jak mnie poinformowano, jest Pani pod opieką dra Degi, wybitnego fachowca i *cudotwórcy*.

Czarnych chwil jednak nie brakowało, czy to w Wielkanoc 1981 r., czy w lipcu 1963 r., gdy po nagłym nawrocie stanów zapalnych jeden z lekarzy stwierdził, że pozostało jej kilka dni życia. Ale najtrudniejszy był czwarty pobyt w szpitalu, trwający od lutego do czerwca 1951 r. O ile pierwszy był szokiem opartym na przekonaniu o wyzdrowieniu, a drugi i trzeci przyzwyczajaniem się i uczeniem nowego życia z nadzieją na zdrowy byt, o tyle ten czwarty zakończył się załamaniem. Już sam przebieg hospitalizacji znaczyły wyjątkowo ostre stany zapalne, długotrwałe bóle, zesztywnienia i przykurcze. Palce dłoni niemal w oczach ulegały zniekształceniom. Lekarze zdawali się bezradni. O chodzeniu nie było mowy, niemożliwe bywało podniesienie łyżki. W dniu zakończenia roku szkolnego, kiedy większość jej rówieśników bawiła się z radości, Maria leżała sztywna z bólu i patrząc na swoje świadectwo ukończenia szkoły podstawowej myślała: „Co dalej? To koniec? To koniec...".

Tamtego dnia ostatecznie przestała wierzyć w wyzdrowienie.

Potem dotarła do niej szeptana po szpitalnym korytarzu wiadomość, że ma być przekazana do zakładu dla dzieci nieuleczalnie chorych. Że to koniec leczenia, że

nie da się nic więcej zrobić. To był dla niej cios. Koniec marzeń o studiach i pracy w teatrze. Pomyślała, że nie chce żyć. Miała niespełna 15 lat.
Napisała do rodziców list, pytając czy to prawda.

DOM

Epitafium jarzębinowe
Pamięci Jadwigi Dzięgielewskiej

Była słońcem
o kształcie serca,
o które ciągle
ścigała się z czasem
i paktowała z ludźmi,
swojej dobroci
domowym ciastem
nie zamykała w lodówce.

Rozdając serce
i szukając serca
odeszła
skrajem zimy.

I za moim oknem
na obrzeżu jesieni,
zdobna w czerwone korale
na przekór
zgryźliwej nocy
szeptem
i mnie podpowiada
życie na jutro.

Marian Cezary Abramowicz

Matka, kim byłabym, gdyby nie ona?, Maria nieraz się zastanawiała. *Na cóż zdałby się mój zapał do nauki, pragnienie walki z chorobą, gdyby nie matka i gdyby nie ojciec. Gdyby nie ich troska i miłość*. Matka, Jadwiga, była w domu, a ojciec utrzymywał dom, pracował w Poznaniu, pisał artykuły do prasy branżowej i wydał monografię naukową, potem jeździł z wykładami do akademii w Krakowie. Zawsze na posterunku.

Tamtego dnia, kiedy Marysia w liście zapytała rodziców czy to prawda, że z kliniki ma trafić do zakładu dla dzieci nieuleczalnie chorych, matka wzięła od pielęgniarki list, przeczytała go na szpitalnym korytarzu, natychmiast skreśliła na odwrocie kilka słów i, nie mogąc wejść na izolowany oddział, oddała kartkę pielęgniarce.

Marysia przeczytała: „Nie. Masz nas i wiedz, że dopóki żyjemy, nigdzie ciebie nie oddamy!".

Tamte tygodnie były przełomem. Pytanie „co dalej?" rodziło mnóstwo wątpliwości. Jednak dla Marii nie mogło być innej decyzji: studia, mieć zawód, mieć przyjaciół, po prostu być wśród ludzi i czerpać z życia.

Po ukończeniu szkoły podstawowej niemal rok Maria spędziła na ćwiczeniach, zabiegach i wyjazdach sanatoryjnych. Latem 1952 r. usłyszała w radiu komunikat o liceum korespondencyjnym. Pisze pismo, ale przychodzi odmowa: tryb nauki korespondencyjnej przeznaczony jest wyłącznie dla osób pracujących. Taki paragraf, ktoś rozkłada ręce. Nie matka. Idzie do kuratorium, tłumaczy, że gdyby córka była zdrowa, nie szukałaby miejsca w tej szkole. Kurator rozumie, ale nic nie może zrobić. Matka proponuje zaświadczenie z kliniki zamiast zaświadczenia z miejsca pracy – chodzi przecież tylko o papier. Kurator poleca przyjść po paru dniach, trwa konsultacja między kuratorium, a dyrekcją szkoły. Rodzi się nowa wątpliwość: Czy *ona* podoła?

Ilekroć przy załatwianiu różnych spraw dla Marysi matka słyszała pytanie: „Czy *ona* podoła?", tylekroć odpowiadała: „Dajcie córce szansę".

Gdy szkoła wyraziła warunkową zgodę na pierwszy rok nauki, wątpliwości ogarnęły Marysię. Przecież każdego roku kilka miesięcy przebywa w klinice. Nie będzie mogła chodzić na konsultacje. Matka odpowiedziała: *Ja będę chodzić i spisywać, co należy przerobić*. I chodziła. Cztery szkolne lata. We wrześniu 1952 r., przy nawrotach stanów zapalnych i pobytach w klinice, Maria rozpoczęła naukę w szkole średniej.

W maju 1957 r. zostaje dopuszczona do matury. Nie jest jednak w stanie podejść do egzaminu pisemnego, obolałe palce odmawiają posłuszeństwa. Matka znów jest u dyrektora szkoły, ten pisze do ministerstwa prośbę o zgodę na zastąpienie egzaminu pisemnego ustnym. Odmowa. Przepisy nie pozwalają. Matka nie daje za wygraną. Płyną pisma do kuratorium i ministerstwa. W końcu jeden z kuratorów osobiście jedzie do Warszawy. Minister słucha i podejmuje decyzję: obywatelka Dzięgielewska ma zezwolenie na dyktowanie pracy protokolantce. W czasie egzaminu za drzwiami czekał ojciec, to przed nim wylała pierwsze łzy radości po tym jak usłyszała proste słowa: „Zdała Pani, gratulujemy". To była pierwsza wielka wygrana.

Przy zgłoszeniu do egzaminów wstępnych znów przeszkoda. Do dokumentacji personalnej trzeba dołączyć kartę zdrowia studenta, poświadczenie, że zdrowie pozwala na odbycie studiów. Profesor Dega jest akurat za granicą. Maria myśli o znajomym lekarzu, rentgenologu. Ale wstydzi się dzwonić, prosić o uprzejmość. Może ludziom zdrowym przychodzi to łatwiej? Matka ją wspiera, jest przy niej. Lekarz słucha cierpliwie, a potem prosi o adres i mówi, że będzie za godzinę.

W dniu 1 października 1957 r. Maria zostaje studentką polonistyki. Instytut mieścił się wówczas przy ul. Matejki, może sto metrów od domu. Matka odwoziła ją na wózku na zajęcia i przywoziła. Z czasem pomagali nowi przyjaciele ze studiów. Matka zawsze miała dla nich coś pod ręką, kawałek ciasta, owoce, uśmiech, dobre słowo. Trochę matkowała tym, którzy byli spoza Poznania. Potem pomagała Marysi w pracy, w pisaniu, gdy palce Marii nie chciały pisać, w zanoszeniu scenariuszy do



Maria Dzięgielewska
Fot. ze zbiorów autora

siedziby Radia. Poza tym pielęgnowała córkę, opatrywała, to była codzienność. Nic nie było dla niej za trudne, za ciężkie.

Przy Marii byli też inni, grono przyjaciół, ludzi serdecznych i uczynnych, pogodnych i wesołych w towarzystwie, co sam pamiętam, znajdując w tym domu ciepło. Przy Marii była też rodzina, zwłaszcza gdy matka była coraz słabsza i gdy jej ostatecznie zabrakło, siostra i brat, przy których choroba się wydarzyła, potem ich współmałżonkowie, a potem ich dzieci, dla których choroba cioci wydawała się normalna, bo zastali ją, gdy przyszły na świat.

Jej świat zatrzymał się, gdy przestała pracować. Zmarła 2 listopada 2002 r., dwa miesiące po przejściu na emeryturę. Kiedy pół roku później likwidowaliśmy dom, kiedy wyciągnąłem z szafki kilka par jej butów ortopedycznych, które od dziecka tyle razy wiązałem na jej nogach, pomyślałem, że dopiero teraz ciocia odchodzi, kiedy odchodzą jej buty i kule.

Bibliografia

Dzięgielewska M., Losowi na przekór, Warszawa 1972.
Zbiory rodzinne Pawła Laskowicza.